

"Szał" Podkowińskiego — Mirosław Sliwa

Od autora: Aby rozwiązać wszelkie wątpliwości, co do intencji, które mną powodowały podczas pisania tego tekstu, oznajmiam, że bardzo sobie cenię ludzi mądrych i wykształconych, ale koniecznie w tej kolejności; najpierw mądrość, potem wykształcenie.

Roma locuta, causa finita.*

I co? I nic. I dupa zbita.

„Szał” Podkowińskiego

Częstochowa, 1982 rok. Deszczowy, późnowiosenny dzień. Małgorzata i ja telepiemy się brudnym tramwajem z punktu A do punktu B. Za oknem jednostajnie miga bezbarwna rzeczywistość, która zdaje się nas jednak wcale nie dotyczyć; zwłaszcza kiedy jesteśmy razem. Pograżeni w miłości i marzeniach brniemy przez życie na zasadzie „jakoś to będzie”, no i póki co, jakoś to jest.

Gośka postanowiła zaprezentować mnie swojej rodzinie. Nienawykły do takich demonstracji odczuwam lekkie zażenowanie, lecz święcie wierzę, że sobie poradzę. Salonowiec ze mnie żaden, ale przecież luz, błyskotliwość... zresztą, co mi tam konwenanse. A mój urok osobisty, to niby się nie liczy? Spokojnie, więc.

I tak wtuleni w siebie śpieszymy z wizytą do jej wujostwa, państwa W - wskich.

- Oni są tacy trochę „ą”, „ę” – mruczy, przywierając policzkiem do mojego ramienia.

- Ale chyba poczucie humoru jakieś mają? Jakiś dystans? Hm?

- Wujek jest fajny; lubię go, ale ciotka to okropna pozerka.

- Dobra. Przecież tylko wypijemy herbatę, coś tam pogawędzimy i spadamy.

Przystanek na ulicy Sienkiewicza. Wyskakujemy z tramwaju. Mży, zatem rozpinam nad nami parasol. Trzymając się za ręce, przeskakujemy kałuże. Chyba wyglądamy dzieci grające w klasy.

Ale oto stoimy przed drzwiami mieszkania państwa W – wskich. Wpatruję się w wizytówkę i uwierzyć

nie mogę. Nie. To nie może być prawdą. No, ale jest. Cholera, jest. Na tabliczce widnieje jak byk:

Tadeusz W – wski

magister ekonomii

Jolanta W – wska

magister geografii

Małgorzata jest sto razy bardziej „zastrzelona” niż ja. Widzę jej zawstydzenie i konsternację. Chyba kiedy ostatnim razem odwiedziła rodzinę, to tego „fioła” na drzwiach nie było. Milczymy; wtem moja dziewczyna obraca się na pięcie, jakby chciała gdzieś uciec, więc szepczę konspiracyjnie:

- Małgoś, daj spokój; skoro już tu jesteśmy...

Wobec tej bufonady moja panna emanuje miksem rezygnacji z dezaprobatą, ale ostatecznie puka do drzwi lokalu zasiedlonego przez magistra ekonomii i magister geografii.

W koszmarnie ciemnym, wyłożonym od góry do dołu korkowymi kasetonami przedpokoju, wita nas gospodarz domu.

Wuj Tadek to młody, trzydziestodwuletni, szczupły, niewysoki blondyn o wyraźnie zdystansowanej postawie, choć ta rezerwa zupełnie nie współgra z prawie chłopięcą twarzą i znamionującym jeszcze młodzieńczą energię błyskiem w oczach. Dostrzegam jednak w tym spojrzeniu coś jakby cień zawodu. Ledwie dostrzegalny, ale jednak. To ci dopiero reakcja na naszą obecność. No, z takim entuzjazmem, to się wita domokrażców lub Świadków Jehowy.

Małgorzata całuje wujka w policzek i przedstawia nas sobie.

- Mirek jestem – mówię, uśmiechając się do wujka Tadka i ściskam jego powściągliwie wyciągniętą ku mnie dłoń.

- Tadeusz – odpowiada dziwnie chłodno i z lekka jakby niechętnym „zapraszam” wprowadza nas do dużego pokoju.

Usztywniam się momentalnie.

Co jest, do kurwy nędzy? – myślę - Przecież Gośka umówiła się z nimi telefonicznie, no i przyszliśmy o czasie. A może ja coś źle wyglądam? Ech tam – żacham się - bez przesady.

Wypogadzam w związku z tym oblicze i staram się być naturalny, choć awersja okazana mi tak nagle i bez powodu przecież, nieco wytraca mnie z równowagi i nie wróży przyjemnego spotkania.

No, jak on jest ten miłszy, to jaka ona jest?

Wychodzi z kuchni ciocia Jola, ciotka Jolanta, magister geografii, Jolanta W – wska. Bez „dzień dobry” wita nas ledwie skinieniem głowy.

Dość niespotykany – zauważam - ten ichni sovoir vivre, nawet jak na moją, mikrą raczej, znajomość protokółarnych zachowań.

Jolanta jest szczupłą brunetką, ubraną w ładną, prostą sukienkę, zdradzającą harmonię kształtów i gdyby nie te sztucznie ściągnięte usta, te pół kilograma złota na szyi i koafiura; ten aseksualny kok na głowie, powiedziałbym; piękna kobieta, niestety jednak, zarówno zacięte wargi, wszystkie klejnoty w nadmiarze, jak i kok znajdują się na swoim miejscu.

Nie bardzo pojmuję, jak w dwudziestej dziewiątej wiośnie życia można się tak wysztafirować. Cóż, widocznie takie zwyczaje panują w częstochowskim haj lajfie Anno Domini 1982.

Jak żyję jednak, nie doświadczyłem takiej asymetrii wrażeń skondensowanych na zaledwie kilku metrach kwadratowych i to w ciągu niespełna pięciu minut.

W co ja wdepnąłem?

Gosia, buntownik co się zowie, mieni się na twarzy, a ja niby don Kichot, zupełnie zresztą świadom swojej donkiszoterii, myślę:

A niech się wali. Co? My, my nie damy sobie rady?

Ni stąd, ni zowąd ciotka Jolanta wystudiowanym ruchem przedramienia wskazuje na przedpokój, który właśnie opuściliśmy i oznajmia:

- Korek.

I milczy sugestywnie. My milczymy, bo nie wiemy, o co chodzi. Milczymy o mgnienie oka zbyt długo. Nagle zaskakuję.

- Tak, tak. Rzadko spotykana wykładzina.

Przytakuję głową z uznaniem dla korka, bo widocznie ciotka tego oczekuje. Nie powiem jej przecież, że uczynili dziuplę z przedpokoju. Zamiast tego niemo czynię sobie wyrzut, że w porę nie wykazałem się właściwym refleksem.

Ciotka to widzi i ciotka już mnie ma.

- Tadeusz przyyyywiózł goooo z ostatniej delegacji... z Aaaaustrii gooo przyyyywiózł.

Przeciąga to y, o i a, i patrzy na mnie jakbym był głównym podejrzanym w sprawie o niedopatrzenie. Widocznie tak miało być. Miałem podpaść i podpadłem. Boję się myśleć, co będzie dalej.

Tymczasem wuj Tadek niby nie chce tego okazać, ale poczucie dumy z bycia światowcem rysuje mu się wyraźnie na twarzy. Wie on jednak, że taka prostacka uciecha może zostać odebrana jako przejaw bezguścia i braku dobrych manier, próbuje więc niechętnie okazaną afektację zbalansować pozorną niedbałością o takie tam, przecież duperele, jak pospolite dla człowieka jego pozycji, podróże zagraniczne. Zastępca dyrektora do spraw ekonomicznych, a jednocześnie przewodniczący POP PZPR w przedsiębiorstwie produkującym nikomu na nic niepotrzebne buble, naśladuje angielskiego arystokratę. Tak, tak; parodia konika garbuska, ale to się rzeczywiście dzieje.

Proszą siadać. Tak bardziej nakazująco niż prosząco. Siadam więc, co czynię ostrożnie, jakbym się bał, że coś mnie w tyłek ukłuje.

W międzyczasie obrzucam pokój spojrzeniem dyskretnym, acz uważnym, dotarło do mnie bowiem, że już nie mogę pozwolić sobie na przeoczenie żadnego artefaktu, stanowiącego wyposażenie wnętrza, bo to znowu może okazać się dla mnie zgubne.

Umeblowanie dość eklektyczne: stół i krzesła solidne, masywne, typowe, polskie art deco, pewnie po dziadkach odziedziczone; ładne, ale znowu w groteskowym zestawieniu z kredensem, biblioteczką, stolikiem pod telewizor na wysoki połysk i krwiście czerwonym dywanem ścielącym się u naszych stóp, delikatnie rzecz biorąc, niepokoi.

Natomiast księgozbiór małżeństwa magistrów odtrąbiających swoje wykształcenie, a przez to i swój status społeczny, tak od razu, od progu, wygląda nader ubogo: Encyklopedia PWN, Leksykon, Słownik Wyrazów Obcych, Ekonomia Polityczna Langego i kilka atlasów – to wszystko.

Poza tym na tle szarej, prążkowanej tapety, całkiem sporych rozmiarów reprodukcja „Szału uniesień” Władysława Podkowińskiego, zwykła licha kopia, za szkłem na dodatek, a osadzona w szerokich, złożonych ramach ornamentowych, domagających się wręcz oryginału, i to bez niedomówień.

Wujostwo udają się do kuchni, zaparzyć i dostarczyć herbatę, a Małgorzata i ja w bezdźwięcznym porozumieniu mobilizujemy wszystkie nasze siły duchowe i intelektualne, aby nie ulec kompletnemu zmiażdżeniu mentalnemu przez walec arogancko - fircykowatej mieszczańskiej peerelowskiej.

Wtem u mnie prawie panika.

- Chyba im nie powiedziałaś, że przerwałem studia? - gorączkowo wyszeptuję zapytanie i z przerażeniem patrzę na Małgorzatę.

- Spokojnie. W ogóle nie wiedzą, że studiowałeś. Pijmy szybko tę herbatę i zrywajmy się stąd - jej ciche zapewnienie działa na mnie niczym oliwa na wzburzoną wodę, lecz jednocześnie dociera do mnie, że i ona zaczyna się tu dusić.

Puszczam do niej oko. Uśmiecha się delikatnie.

Gdy ja rozkoszuję się ulgą związaną z niewiedzą państwa W-wskich tyczącą mojej, niecnej rezygnacji z kształcenia wyższego, wuj Tadek nieporadnie wnosi tacę z napojami i ciasteczkami, a za jego plecami drobi ciotka Jolanta, cicho, lecz nachalnie ostrzegająca męża.

- Tadeuszu, Tadeuszu ostrożnie.

Boże, co za dom? Jak oni mogą żyć w tej atmosferze „tuż, tuż przed Armagedonem?”

Oczyrna wyobraźnia widzę, co stałoby się ze mną gdyby nagle dowiedzieli się o tej mojej dezercji edukacyjnej i z ulgą skazańca, któremu niespodzianie darowano życie odwracam się od tej przerażającej wizji.

Wszyscy siedzimy sztywno, tylko Tadeusz co chwila przekłada nogi; to założy lewą na prawą, to odwrotnie. Teraz już wiem, że nic normalnego się tutaj nie wydarzy i z rozpaczą zaczynam czuć, jak uchodzi ze mnie cała pewność siebie.

Przecucia kasandryczne jakieś, zupełnie niewyjaśnione mnie przenikają.

Gęstą ciszę przerywa metalicznie brzmiący, wysoki głos Jolanty:

- I jakże wam się podoba?

Ja chyba zwariuję. Co ma nam się podobać?!

I prawie jak przez ścianę słyszę głos Małgorzaty:

- Mirek ma kilka dni urlopu, więc przyjechaliśmy tutaj na wystawę Adama Bujaka. Za jakieś dwie godziny - tu Gośka spogląda na zegarek – nastąpi jej otwarcie na Jasnej Górze.

O, Małgoś, kochana przechero moja, rzuciłaś koło ratunkowe.

- Adam Bujak? A któż to taki? - pyta Tadeusz.

- Artysta - fotografik. Jego specjalność to sztuka sakralna – odpowiadam.

- Sztuka sakralna? To ciebie, młody człowieku, interesuje sztuka sakralna? - Jolanta patrzy na mnie jakbym nagle zamienił się w Yeti.

- Ależ interesuję się sztuką we wszystkich aspektach. Malarstwo, muzyka, literatura, film...

- Malarstwo. O! Tak, malarstwo - Jolanta w jakimś uniesieniu, tym samym ruchem przedramienia, którym wcześniej wskazywała na korek w przedpokoju, teraz kieruje nasze spojrzenia na reprodukcję „Szału” Podkowińskiego i z komicznie przerysowanym wzruszeniem, które już mnie jednak wcale nie dziwi, niemal krzyczy:

- To jest wielka sztuka! To jest prawdziwa sztuka!

- Hm – chrząkam, bo zawsze głupieję w obliczu egzaltacji – tak, to z pewnością wybitne dzieło polskiego symbolizmu.

- Polskiego? Dlaczego tylko polskiego i jakiego symbolizmu? Przecież to naturalizm. W ostrym wejrzeniu magister Jolanty z koafiurą na głowie oraz grubymi precjozami na szyi maluje się bezbrzeżna pogarda, ale, co trzeba przyznać, z niewielką nutką litości. Oto Jolanta stawia diagnozę przypadłości, której występowania u siebie zupełnie nie byłem świadom; kliniczny idiotyzm.

Bez ochyby, jestem Józefem K. przed surowym obliczem Jolanty W. – sędziny ferującej wyroki w imie-

niu diabelskiego trybunału. Mróz ścina moje ciało i duszę.

Na to Gośka wybucha szyderczym śmiechem, od którego aż się zanosi.

- Ta blada, tłusta, ruda baba z miną wystraszonej bekisy na wkurwionym koniku, skradzionemu pewnie biednemu Zorro, w tym teatralnie, ledwie rozświetlonym mroku; to ma być wielka sztuka?!

W gwałtownym geście sprzeciwu o mały figiel nie przewraca się razem z krzesłem do tyłu. Szybko jednak stabilizuje się i sarkastycznie wyzłośliwia ku Jolancie;

- Ciotenka, to jest wiocha.

Znam zamiłowanie mojej dziewczyny do abstrakcjonizmu i ekspresjonizmu, wiem, że Kandyńskiego, Klee czy Pollocka wielbi z całym oddaniem, ale świadom jestem również tego, że w normalnych warunkach nigdy by tak ostro nie zaprotestowała przeciwko sztuce figuratywnej. Widocznie ma już dosyć tego domu razem z mieszkańcami i dobytkiem. Z całą pewnością nie o upodobania jej idzie.

- Ależ Małgorzato, dajże spokój - Tadeusz podejmuje wysiłek aby przywołać oburzoną, ale swoją dziewczynę do porządku.

A ja już nie jestem Józefem K. i taka dumka mi po głowie chodzi: *Oj Tadziu, bylebyś nie powiedział jednego słowa za dużo.*

Ale tylko sfiksowana Jolanta, nagle zbита z pantałyku, z nastroszonym od zniewagi kokiem i spojrzeniem wbitym w obrus mruczy:

- Co za krnąbrne dziewczyszko!

Tadeusz w zniecierpliwieniu, krótkim – "Kochanie, proszę" – uspokaja żonę. No tak, Tadziu chyba mocniej stąpa po ziemi, a ponieważ cała ta wizyta niezbyt jakoś światowo wypada, na odprężenie, wzdychając głęboko, proponuje mi kieliszek koniaku. Nie odmawiam.

Urażona Jolanta błądzi jeszcze wejrzeniem po stole, natomiast triumfująca Małgorzata taksuje ją lekceważąco z góry na dół, ale obie powoli spuszczaają z tonu. No i dobrze.

Wuj Tadek usiłuje ponownie nawiązać nagle przerwana rozmowę.

I tak sobie we dwóch gadamy o życiu. On o sobie, trochę o nich, a ja o sobie i trochę o nas. W pewnym momencie Jolanta wybudzona z odrętwienia, już raczej rzeczowo, włącza się do rozmowy:

- A po ślubie, gdzie wy mieszkać będziecie?

- No, to jest spory kłopot – odpowiadam – ale pewne możliwości są, bo i do Spółdzielni Mieszkaniowej należę od jakiegoś czasu, a poza tym złożyłem również wniosek w dziale mieszkaniowym na kopalni.

- To i tak co najmniej kilka lat sobie poczekacie – sceptycznie wieszczy Tadeusz. On to zna i wie, że gdyby nie jego oportunizm, cyniczna lojalność wobec systemu, do dzisiaj tłoczyliby się z rodzicami Jolanty, w małym, drewnianym domku na peryferiach miasta.

Kurwa, ja też wiem, że złote czasy wczesnego Gierka bezpowrotnie minęły, ale niech mnie szlag trafi jeślibym miał się zbrukać przynależnością do partii komunistycznej – wściekłą refleksję, pełną niemożliwości gordyjskich, przecinają słowa, bezwiednie silnej młodzieńczą nadzieją, Małgorzaty:

- Wiesz wujek, niedawno byliśmy na nowym osiedlu domków jednorodzinnych i skoro, tak czy inaczej, skazani jesteśmy na wyczekiwanie latami tego własnego „M”, to może i my rozpoczniemy budowę. – Spogląda na mnie uśmiechnięta, w rozmarzeniu.

- Są takie możliwości? – Tadziu z wątpliwością zwraca się do mnie.

- No są. Zakup działki, to nie jest problem, trochę gorzej z materiałami budowlanymi, ale z czasem chałupkę by się wystawiło. – Również zaczynam promienniejszą spoglądać w przyszłość.

- A pamiętasz Małgoś tę chawirę pod lasem? No istna hacjenda, mówię wam – tu, entuzjastycznie, dzielę się podziwem dla rozmachu budowli z Jolantą i Tadeuszem.

Ni z tego, ni z owego Jolanta marszczy brew:

- Chyba hacjenda*?

Co jej znowu do łba strzeliło? – myśl jak zwiastun burzy znowu mrozi mi krew w żyłach.

Wyjaśniam, więc:

- Nie. Chodzi mi o hacjendę. Coś jakby posiadłość... no... w hiszpańskim stylu... taką.

Lecz Jolanta, która znowu jest sobą, żrąc mnie gadzim spojrzeniem, pochyła się ku mnie i powoli, acz bardzo dobitnie cedzi:

- Młody człowieku; hacjenda!!! Jestem magistrem geografii, więc chyba wiem, co mówię!

Roma locuta, causa finita.

Odbiera mi mowę. Nie potrafię rozeznaczyć błędnej czy czerwienię. Czuję się tak, jakby ktoś zdzielił mnie w czerp gumowym młotkiem. Owłada mną piekący wstyd. Z rozpaczą wpatruję się w Słownik Wyrazów Obcych. Mam ochotę nakazać magister Jolancie głośne odczytanie znaczenia pojęć: hacjenda i facjenda, i to najlepiej ze sto razy, ale przecież... zwykła przyzwoitość nie pozwala mi się na ten temat nawet zająknąć. Nie, tak się nie robi. Znalazłem się w matni, więc tylko tępo gapię się w podłogę.

Czego nie zrobiłem ja, czyni moja dziewczyna. Głuchy huk dykcjonariusza ciśniętego z rozmachem na stół podrywa mnie na równe nogi.

- Niech pani magister się douczy – arogancko, na odchodnym, Małgorzata rzuca kąśliwą uwagę pod adresem ciotki Joli, a do mnie całkiem spokojnie rzecze:

- Chodźmy już, bo się spóźnimy na otwarcie wystawy.

Zdawkowym „do widzenia” żegnam się z kompletnie zbaraniałą Jolantą i do imentu zrezygnowanym już Tadeuszem.

- „Korek”.

- „Malarstwo. O! Tak, malarstwo”.

- „To jest wielka sztuka. To jest prawdziwa sztuka”.

- „Facjenda”.

- „Młody człowieku, facjenda!!! Jestem magistrem geografii, więc chyba wiem, co mówię”.

Prychając śmiechem, naprzemiennie przedrzeźniamy słowa, gesty i miny ciotki Jolanty.

Spłeceni dłońmi, biegniemy, przeskakując kałuże na chodniku. Gdyby ktoś nas w tej chwili zobaczył, pomyślałby, że duże dzieci grają w klasy.

* Roma locuta, causa finita – Rzym się wypowiedział, sprawa zakończona

* Facjenda - dawniej: interes, transakcja handlowa; spekulacja, szachrajstwo

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Mirosław Sliwa, dodano 28.05.2015 20:45

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.